Gruzja 2013

Hutnik na krańcach świata, czyli kolejna Waldziowa wyprawa rowerowa

**Dzień przed wyjazdem**

Zaczyna sie straszna nerwówka pakowanie roweru i bagażu wszystko jest nie tak - bagaż za ciężki, torba niewymiarowa w końcu po odrzuceniu mniej przydatnych rzeczy i dociśnięciu torby wyruszam z kolegami na lotnisko. Odprawa i po krótkiej chwili startujemy, przygoda się zaczyna.

**Dzień pierwszy**

Szczęśliwe lądowanie, ale potem już gorzej - pani celniczka czepia się zdjęcia w paszporcie na którym mam wąsy i uparcie twierdzi, że to nie ja. Czas mija, moje tłumaczenia że zgoliłem nie pomagają, przychodzi jakiś starszy stopniem i żąda innego dokumentu, na szczęście mam dowód i po okazaniu zostaje w końcu przepuszczony dalej. Paczka z rowerem już na taśmociągu, rozpoczynam składanie, ciągle ktoś podchodzi, zagaduje, dla nich sensacja a mnie się trzęsą ręce. W końcu rower poskładany pora ruszać, pedałuje w stronę centrum miasta, flagi powiewają ( oczywiście gruzińska i polska), samochody trąbią, kierowcy pozdrawiają jest fajnie i miło. Wymiana waluty w najbliższym banku i pierwszy posiłek, czyli chaczapuri, taki placek z słonym serem. Już wyjechałem z miasta, kieruje się zgodnie z moim planem   
w kierunku gór, które już majaczą na horyzoncie. Jest zjazd z głównej drogi i kończy się asfalt. Fajnie się jedzie cisza i spokój, ale trzeba myśleć o noclegu, pytam w jakimś sklepiku mijanym po drodze i długo nie czekam na zaproszenie do domu od pani sklepowej. Mogę się w końcu się odświeżyć i przebrać, a po chwili dostaje zaproszenie na kolacje- tego się nie spodziewałem muszę przyznać. Jedzenie proste - ser, chleb, kiełbasa, miód, itp., ale wszystko wyjątkowo smaczne. W trakcie kolacji staram się odpowiadać na pytania dotyczące mojej rodziny, mego kraju itd., wszystko ich interesuje. Czas leci, pora spać i tak mija pierwszy dzień.

**Dzień drugi**

Wstaje wyspany, szybka toaleta (i pierwsza nauka załatwiania się w pozycji na Małysza, cóż gazety poczytać w kibelku się nie da), zaproszenie na śniadanie, pamiątkowe zdjęcia i rozdanie drobnych prezentów (pieniędzy za nocleg i gościnę za nic nie chcieli wziąć) i wyruszam dalej. Słoneczko mocno grzeje, widoki wspaniałe, więc mozolnie pedałuje do przodu. Nie jest łatwo, droga kamienista często pod górkę, ale jakoś jadę. Po jakiś 40 km wyjeżdżam do miasteczka, więc pora na posiłek, zamawiam chinkali, czyli słynne gruzińskie pierogi - niebo w gębie. W końcu docieram do Boriomi, słynnego uzdrowiska i tu postanawiam znaleźć nocleg. Niestety to jednak miasto, a w hotelach spał nie będę, więc zjeżdżam do jakiegoś lasu, rozbijam namiot, rower przywiązuje do nogi, gaz pieprzowy do ręki i zasypiam i tak mija dzień drugi.

**Dzień trzeci**

Noc minęła spokojnie, choć ktoś się kręcił obok namiotu, ale nie zaczepiali. Pakuje się i ruszam zwiedzać uzdrowisko – ładne, ale widać, że lata świetności ma już za sobą, więc trochę fotek, łyk tej słynnej wody mineralnej (przypomina naszą z Kudowy Zdroju) i jadę sobie dalej w kierunku Vardzi, gdzie znajduje się skalne miasto, zabytek wart zboczenia około 100 km z trasy. Droga asfaltowa, ale ruch mały, po drodze wiele twierdz i zamków, niektóre w bardzo dobrym stanie, jak już tu jestem to korzystam i zwiedzam na potęgę. Czas płynie, widzę, że nie zdążę już dojechać do celu, więc postanawiam gdzieś zanocować. Pierwsza lepsza chata, pytam sympatycznych nastolatek o możliwość rozbicia namiotu, nic nie rozumieją ani po rusku ani angielsku. Jest jeszcze starsza babcia, ale ona o dziwo po rusku też nic nie kuma. Jedna   
z nastolatek gdzieś dzwoni, po czym podaje mi telefon, ktoś pyta kto ja jestem i co chce, więc tłumaczę jak umiem o co mi chodzi. Widać dobrze mi poszło, bo już nocleg w domku jest. Jest i kolacja, potem pogawędka z gospodynią i jej wnuczką , pora spać - i juz po trzecim dniu.

**Dzień czwarty**

Budzi mnie smakowity zapach jajecznicy, która przyrządza wnuczka, więc pora na śniadanie. Pojedzony i opity mocną herbatą pytam ile płacę i znowu słyszę, że jestem gościem i nic mam nie płacić, więc pora na prezenty, fotki i w drogę. Docieram w końcu do Skalnego Miasta (muszę napisać, że ciężko było podjazdy 12 %, aż mi przednie koło podnosiło do góry) robi wrażenie. Zostawiam rower, idę zwiedzać, chodząc sobie wykutymi w skale tunelami, pokojami i korytarzami - ma się wrażenie przeniesienia w czasie do innej epoki. Pozwiedzałem, popstrykałem, wracam na trasę i kieruje się w stronę morza czyli do Batumi. Zwiedzam sobie po drodze jakiś zamek, gdy następuje załamanie pogody - ulewny deszcz oraz grad, nie ma rady, trzeba przeczekać. Burza mija, więc ruszam z duszą na ramieniu, bo chmura wisi wciąż nade mną. Wtem zatrzymuje się samochód i sympatyczny z wyglądu Gruzin pyta, czy mnie nie podwieźć do dzisiejszego celu podróży. Chwila wahania, ale się zgadzam, rower na pakę, ja do środka, tam drugi Gruzin i ruszamy. W trakcie jazdy rozmowa się nie klei obaj mówią tylko po gruzińsku, ale jakoś zostaje zaproszony na nocleg. Mijamy miasteczko, gdzie miałem dojechać i wjeżdżamy pod jakąś górę. Jedziemy już dobrą godzinę, nie ma żywego ducha, zaczynam się poważnie niepokoić. Nagle samochód się zatrzymuje i jeden pokazuje bym wysiadał. Pokazuje bym podszedł do krawędzi wodospadu, bo coś tam jest - nic tylko mnie pchnie i po mnie- myślę sobie, ale podchodzę ostrożnie zerkając do tyłu, na dole coś się kręci, okazuje się, że to turbina wytwarzająca prąd- uff żyje fałszywy alarm, ale jedziemy dalej. W końcu jakieś miasteczko na szczycie góry, no chyba dojechaliśmy, jednak nie, mam wysiadać bez roweru. Okazuje się, że chłopaki przyjechali kupić krowy, fajnie tylko jak kupią to co z rowerem ?. Jednak nie kupili, cena chyba nie odpowiadała, jedziemy dalej już około 23-ej, ciemno jak diabli z lewej przepaść, z prawej urwisko, a kierowca sobie rozmawia ciągle przez komórkę - no tak jak nie zabili to zaraz pięknie na dół spadniemy, znowu mam stresa. W końcu stajemy i znów każą wysiadać, świecą sobie maleńka lampka w komórce i znów mam iść za nimi gdzieś w ciemną noc. Idę jak na ścięcie, bo to pewnie tu mnie chcą załatwić (znów te czarne myśli) i tak po 10 min. dochodzimy do jakiegoś źródełka i pokazują, że tu jest zdrowa mineralna woda. To ja się już trzeci raz z życiem żegnałem, a oni mi tu z wodą wyjeżdżają, no nieźli dowcipnisie. Ruszamy dalej i po jakiś 30 min jesteśmy dobrze po 24-tej u celu. Rower do obory, ja na górę do kuchni witam się z starszymi gospodarzami, jak zwykle kolacja i rozmowa (coraz lepiej mi idzie mówienie po rosyjsku i trochę po gruzińsku o dziwo). Pora na spanie po tak stresującym dniu zapadam w twardy sen i tak się kończy następny dzień.

**Dzień piaty**

Wstaje o 7-ej, młodzież jeszcze śpi ale gospodarz już się krząta po obejściu. Mam okazję zobaczyć jak się robi śmietanę i ser przepuszczając mleko przez jakąś maszynkę. Wstaje reszta, jemy swojskie śniadanie i pomału trzeba się zbierać. Pytam gdzie ja w ogóle jestem i jak dojechać do jakiejś cywilizacji. Po krótkim tłumaczeniu okazuje się, że mam jakieś 40 km do miejsca gdzie powinienem być wczoraj, no nieźle. Żegnam się serdecznie, w końcu wszystko dobrze się skończyło, trochę głupio, że źle osądziłem moich gospodarzy, ale to były po prostu emocje. Ruszam i po kilkakrotnym zmyleniu drogi wyjeżdżam na właściwą trasę. I tu zaczynają sie problemy z rowerem, najpierw urywa sie bagażnik, wszystko ląduje na ziemi, na szczęście mam gumowa linkę wiec jakoś sobie radze, ale trzeba szukać spawacza.   
W miasteczku znajduje mechanika, a on ma smarku, czyli spawarkę i awaria usunięta. Zadowolony jadę sobie dalej, gdy wtem psss guma złapana, klnę na czym świat stoi, trzeba ściągać sakwy, namiot i wymieniać dętkę. W trakcie wymiany nadjeżdża jakiś rowerowy turysta. Okazuje się, że to francuz Fred, razem wymieniamy dętkę, pytam przy okazji ile ma kilometrów przejechanych na rowerze, pokazuje na liczniku że 5300 km. Dwa miesiące temu wyjechał z Francji, potem były Włochy, Albania, Turcja, Gruzja i właśnie wraca do Francji. I po co pytałem, teraz czuje się taki malutki z moimi 420 km. Żegnam się z Fredem i jadę myśląc, że to juz koniec na dzisiaj awarii. Mijam starego moskwicza, który też złapał kapcia, pytają czy mam może pompkę - mam maleńką rowerową, co w niczym nie przeszkadza Gruzinom, pompują koło na zmianę chyba jakieś 20 min, ale dają rade! Zaczyna się wieczór, więc widząc, że nie dojadę dzisiaj do Batumi, szukam noclegu. Tym razem trafiam na kwaterę za jakieś 20 zł, postanawiam zapłacić i wziąć w końcu jakiś porządny prysznic, w końcu nie pluskałem się juz 4 dni   
i trochę to czuć. Woda oczywiście zimna, ale już się przyzwyczaiłem. Tak się kończy dzień następny.

**Dzień szósty**

Zamawiam sobie rano jajecznicę, dostaje jajka polane sosem, trochę dziwne, ale bardzo smaczne, pakowanie bagaży i dalej w drogę nad Morze Czarne. Postanowiłem najpierw podjechać do miejscowości Gonio zobaczyć słynną twierdzę. Niestety z twierdzy pozostały tylko mury obronne, reszta ruina. Więc pora na kontakt z morzem, wjeżdżam na plażę i szok - nie ma nikogo, jak okiem sięgnąć . W Polsce nie do pomyślenia, zawsze tłumy ludzi, a tu jedynie pies sobie śpi na plaży. Wchodzę do morza, woda cieplutka i czysta jeden minus to kamienista plaża. Ruszam w kierunku Batumi, niestety zaczyna kropić drobny deszczyk i do Batumi wjeżdżam już nieźle przemoczony. Przy plaży też kamienistej ciągnie się ładnie utrzymany park oraz niezliczone kafejki i knajpki, jest nawet wypożyczalnia rowerów i ścieżka rowerowa. Znajduje kwaterę, niestety drogo jak cholera w przeliczeniu 95 zł, nic nie utargowałem trudno, przebieram się w suche ciuchy i ruszam na miasto. Docieram autobusem do portu i rozpoczynam zwiedzanie. Jest ładnie, wszystko fajnie utrzymane i zadbane, ale po kilku godzinach stwierdzam, że to jednak nie moja bajka, ja szukam kontaktu z przyrodą i ludżmi a tu po prostu nadmorskie miasteczko. Po powrocie na kwaterę szybka decyzja o zmianie trasy, w przewodniku znajduje opis miejscowości Bachmaro, położonej na 2050 n.p.m i słynącej podobno z gościnności i dobrego jedzenia i tam postanawiam popedałować. Kończy się kolejny dzień.

**Dzień siódmy**

Pobudka, śniadanie w jakiejś kazachstańskiej knajpce i jadę szukać poczty, wysyłanie pocztówek   
z podroży to juz u mnie tradycja. Po jakiś 30 min i niezliczonej ilości zapytań znajduje budynek pocztowy, ale jak się okazuje, nie mają pocztówek. Jednak się uparłem, że kartki wyślę, więc szukam księgarni, schodzi znowu 30 min, ale kartki już mam kupione. Kartki wysłane, więc można się zbierać, jeszcze tylko posiłek, czyli rybka kupiona na targu i usmażona w pobliskim barze oraz kupno pamiątek dla rodziny i ruszam w stronę Bachmaro. Po drodze trafia się Ogród Botaniczny, w przewodniku fajnie opisany, więc ruszam na zwiedzanie. Niestety okazuje się, że lata świetności ma już za sobą, więc po 1,5 godz. chodzenia trochę już tym zmęczony wsiadam na rower i kontynuuje podróż. Czas szybko płynie i robi się szarówka, do najbliższego miasteczka mam jakieś 12 km i tam będę szukał noclegu. Niestety pech, następny kapeć, śpieszę się z wymianą dętki bo już ciemno, mało co widać, wymieniłem pompuje i widzę, że opona źle się układa, po prostu nie wchodzi w felgę. Okazuje się, że trafiłem na dętkę z innym niż u mnie wentylem - niech to szlag- następny zapas głęboko w sakwie nie znajdę po ciemku. Ale znowu mam szczęście,z bocznej drogi wyjeżdża samochód, zatrzymuje się i dwóch Gruzinów pyta czy pomóc, widzą o co chodzi i proponują podwiezienie, a w trakcie jazdy również nocleg i tak trafiam do Lashy i Dali, czyli sympatycznego rodzeństwa, z którym się dość szybko zaprzyjaźniam. Jest przepyszna kolacja, są gruzińskie tańce, klimat po prostu nie z tej planety, jak dobrze że wróciłem w góry. I tak mija kolejny dzień podróży.

**Dzień ósmy**

Rano leje jak z cebra, mój wyjazd sie opóźnia, więc aby coś robić pomagam w przygotowanych obiadu, a potem w nim uczestniczę. Trochę sie przejaśnia, więc mocno spóźniony ruszam do Bachmaro. Przede mną tylko 50 km, ale wszyscy ostrzegają, że będzie mocno pod górę. I faktycznie nie jest łatwo, a ponadto znów zaczyna padać. Jadę mokry, zziębnięty i już nieźle zmęczony, średnia prędkość 6 km na godz. i juz widzę, że będę miał problem z dojechaniem do celu. Robi się coraz zimniej i coraz bardziej stromo, mam dość, jadę resztkami sił, więc gdy zatrzymuje się jakiś samochód dostawczy z propozycją podwiezienia ostatnich 15 km, nie waham się ani chwili. Jesteśmy na miejscu, widać ośnieżone górskie szczyty, widoki są przepiękne, ruszam szukać noclegu i tu spotyka mnie niemiła niespodzianka, miejscowość normalnie jakby wymarła, domki sklecone byle jak z drzewa i blachy są pozamykane   
na kłódki, jadę wzdłuż ulicy i nie ma tu żywego ducha, gdzie ci ludzie z ich gościnnością się podziali (i tu znowu sie przekonałem, że trzeba brać duże poprawki, na to co piszą w przewodnikach) robi się problem z noclegiem, namiot nie bardzo, gdzie jest rozbić, bo wszędzie błoto i cały czas kropi. Docieram w końcu do centralnego punktu wioski, czyli kościoła - też zamknięty, ale obok widzę napis Police, więc tam się udaje. Trzech panów funkcjonariuszy rąbie akurat drzewo, pytam o nocleg i zostaje zaproszony na komisariat. W piecyku napalone, mogę się w końcu wysuszyć, dostaje gorącą herbatę oraz coś do zjedzenia. Następnie pokazują pokój, gdzie mogę się przekimać, więc już jestem zadowolony. Schodzą się pracownicy ochrony, która pomaga policji pilnować miasteczka (właśnie się dowiedziałem, że miasteczko funkcjonuje tylko trzy miesiące w roku i dlatego, kiedy ludzie przyjeżdżają na wypoczynek). Robi się sympatycznie, gadamy sobie o wszystkim i o niczym, a ja się cieszę, bo coraz lepiej mówię po gruzińsku, a i rosyjski mi się poprawił. Fajnie było, pora spać, kolejny dzień się kończy.

**Dzień dziewiąty**

Rano policjanci jeszcze smacznie chrapią, a ja korzystam z sytuacji i robię fajne fotki z ich bronią i w ich mundurach. Potem śniadanko i pora rozdać prezenty, jeden dostaje scyzoryk, a drugi pyta, czy mógłby dostać rękawiczki rowerowe, bo jeździ na quadzie i go ręce bolą, mam dwie pary, więc nie ma sprawy, dostaje w prezencie. Wspólne fotki i ruszam z powrotem, trochę mnie dziwi, że policja jedzie za mną mrugając światłami, ale nic jadę. Pedałuje już dobre 20 km, oni ciągle za mną i wtedy zrozumiałem, że po prostu mam eskortę dla mojego bezpieczeństwa. I tak zjechaliśmy jakieś 50 km, staram się wytłumaczyć że jestem bardzo wdzięczny za troskę ale już dzięki, bo jadę na czaj do Lashy. Nie udaje się, jadą dalej za mną, wjeżdżam na podwórko, macham do gliniarzy i w końcu odjeżdżają. I znowu jestem u Lashy, czuje się tutaj prawie jak w domu, rozmawiamy, gdy nagle przychodzi sąsiad i mówi, że przyjechała policja i pytają o mnie - o co tu chodzi? Okazało się, że pytają, gdzie ja dalej jadę, mówię, że do Ureki, czyli znowu nad morze zobaczyć plażę, na której jest czarny piach prawdopodobnie wulkanicznego pochodzenia. W odpowiedzi mimo moich protestów pakują rower na bagażnik, mnie do środka i gdzieś jedziemy. Po jakiś 15 km koniec jazdy mam wysiadać, więc już się cieszę, bo dalej sobie już popedałuje, jednak nie -podjeżdża drugi radiowóz, rower na pakę, jedni policjanci się ze mną żegnają, a następni witają, tłumaczą że tu są rewiry i ci pierwsi nie mogą jechać dalej za to drudzy mnie będą wieźli. Sytuacja jeszcze dwa razy się powtarza, aż w końcu docieramy na czarną plażę. Dostaje jeszcze ostrzeżenie przed złodziejami i w końcu jestem wolny. Piasek faktycznie jest czarny, ludzie na nim leżący też, nawet ciekawie to wygląda. Chwila na zdjęcia i posiłek i ruszam w kierunku lotniska, bo niestety pobyt pomału dobiega końca. Z przeciwka nadjeżdża radiowóz, mrugają światłami i się zatrzymują, o nie tylko nie to, znowu mnie wozić będą! Jednak nie, na pace już leży rower a z wozu wysiada Japończyk i wita się ze mną, mówi, że jedzie do Istambułu i też go policja dorwała i podwozi do granicy. No tutejsi policjanci to za wiele pracy chyba nie mają. Pora na nocleg, więc zjazd z głównej drogi i tradycyjnie pytam w najbliższej chacie, czy mogę rozbić namiot i jak zwykle jest odpowiedź, że nie ma sprawy, ale po co namiot jak mnie zapraszają do domu. Gospodarz podaje chleb i masło, przeprasza, że tak biednie, ale nic więcej nie mają. Aż mi głupio postanawiam, że rano choćby nie wiem co, zapłacę za gościnę. I tak minął kolejny dzień.

**Dzień dziesiąty**

Próbuje zapłacić zgodnie z moją obietnicą, za nic nie chcą wziąć pieniędzy, ciągle słyszę, że ja jestem ich gość, więc dostaje w prezencie czapeczkę i otwieracz do butelek, cóż zawsze to lepsze niż nic. Dzisiaj w planie zwiedzanie dwóch zamków oraz monastyru, czyli kościoła, więc krótkie pożegnanie i ruszam w drogę. Postanawiam coś przekąsić na ciepło, niestety w miejscowym barze dostaje tylko coś w rodzaju kabanosów i nie udaje mi się wytłumaczyć żeby chociaż je w wodzie zagrzali. No nic konsumuje na zimno, gdy wtem wchodzi policja (znowu mnie znaleźli) i grzecznie pyta, gdzie ja jadę, podaje nazwę zamku i słyszę, że on mnie chętnie podwiozą. Bronię się rękami i nogami, tłumaczę, że chce tam jechać na rowerze, w końcu ulegają, ale nie odjeżdżają. Kończę konsumpcje, wsiadam na rower, ruszam, oni za mną i znowu mam tym razem niechcianą eskortę. I tak sobie dojeżdżamy do zamku, kupuję bilety, idę zwiedzać, a ze mną jeden z panów policjantów okazuje się, że został moim przewodnikiem, opowiada historię zamku, pstryka mi foty, normalnie znów nie do uwierzenia. Zamek zaliczony, ruszam w kierunku Monastyru, policja nie odpuszcza, dalej jadą za mną, jest to bardzo uciążliwe, bo tempo trzeba dobre trzymać, w końcu rowerzysta z Polski nie będzie sie wlókł na rowerze, Historia z rewirami się powtarza jestem przekazany innej ekipie, która pilotuje mnie do Kościoła. I znowu zwiedzanie, fotki, oczywiście panowie mi towarzyszą. Myślę, jak się tu uwolnić i wymyślam, że jestem głodny i szukam knajpy z dobrym jedzeniem - nie skutkuje, dostaje znak, że mam jechać za radiowozem, pokażą mi gdzie dobrze zjem, zrezygnowany pedałuje. Zamawiam chinkali, czyli pierogi, a policja grzecznie pilnuje mi roweru przed knajpą. Konsumuje, wychodzę i w końcu wolność, panowie się żegnają i zostaje sam. Pora szukać noclegu, więc pytam grupkę osób pod sklepem o rozbicie namiotu, wskazują na pobliski park, a nawet towarzyszą mi na miejsce i pomagają rozstawić namiot. Spanie jest, więc sobie miło gawędzimy, gdy wtem przychodzi jakiś starszy Gruzin i proponuje nocleg u siebie, hmm namiot już stoi, ale czemu nie, więc szybki demontaż namiotu i idziemy całą grupką do tego Gruzina. Po drodze jeden z nowo poznanych kumpli pokazuje na mojego gospodarza i stuka się wymownie w głowę, co świadczy, że mój gospodarz ma nierówno pod sufitem - no to się znowu wpakowałem. Jestem w środku i już żałuje, że nie zostałem pod namiotem, ale trudno, dochodzi jakaś 24, głowa mi opada, a tu telewizor gra na całego, a gospodarz to przysypia, to znowu się zrywa i coś tam do siebie mamrota, to znów się kładzie i tak całą noc nie zmrużyłem oka, obserwując jego zachowanie, bo jak wiadomo z wariatami nie ma żartów. I taki to był mój ostatni nocleg.

**Dzień jedenasty podróży**

Niewyspany z bolącą głową zbieram się jak najszybciej do drogi (dał mi ten dziadek popalić, nie ma co) szybko się zegnam i ruszam w kierunku jaskini, gdzie odkryto ślady dinozaurów. Jaskinia nawet fajna, ale ślad tylko jeden i wygląda raczej jak odcisk łapy np. strusia. Ruszam do miasta wymienić pozostałe pieniądze oraz na wszelki wypadek zdobyć jakieś pudlo do zapakowania roweru. Udaje się i jedno i drugie, więc kieruje się na lotnisko, jest około 20-tej, a samolot mam 6:30, więc noc spędzę na ławce, znów bez spania. Przed wejściem podchodzą celnicy i wyraźnie interesują się rowerem, w końcu pada propozycja zakupu, na co zdecydowanie odmawiam, rower co prawda stary, ale mam do niego sentyment i przynosi mi szczęście. Jeden nalega, by mu sprzedać kask rowerowy, mam dobry humor, więc sprzedaje poniżej kosztów zakupu, co potem okazuje się dobrym posunięciem. Pakujemy rower (pomaga mi dwóch Ukraińców, niestety żaden Polak nie ruszył się z pomocą), ważymy i jest spory problem, przekraczam limit o 5 kg, a i torba podróżna nie mieści się w wzorniku, wszystko przez prezenty dla rodziny i przyjaciół. Zaczynają się kombinacje, wyrzucam ręcznik, jakąś koszulkę, śpiwór, ale to wszystko za mało, podchodzi celnik, który kupił kask i widząc, że mam problem mówi, żebym się nie martwił, on to załatwi, no to problem z głowy. Jakoś czas upłynął, zaczyna się odprawa, ustawiam się do ważenia ale podchodzi znajomy celnik Dawid, zabiera cały mój bagaż i przechodzi z nim jakimś tylnym wejściem - opłacało się stracić te 15 zł na kasku. Jeszcze odprawa i z żalem, że to juz koniec wyprawy, wsiadam do samolotu. 2 godz. 50 min bezproblemowego lotu i w Pyrzowicach witam się z kolega który po mnie przyjechał. ładujemy bagaż na samochód, gdy nagle podjeżdża ekipa rowerowa z klubu Cykloza, do którego również należę i nie mam innego wyjścia, jak poskładać rower i wrócić z nimi do domu. I tak zakończyłem swoją następną podróż z wynikiem 931 km przejechanych po gruzińskich drogach. Trzeba jeszcze doliczyć jakieś 100 km przejechane innymi środkami transportu, więc myślę, że spora część Gruzji udało mi się pozwiedzać. Było tak jak sobie wymarzyłem, a nawet lepiej - wspaniałe widoki, serdeczni ludzie, niezapomniane przygody, zmaganie się z awariami oraz własnymi słabościami, czyli mówiąc krótko było wspaniale. Mam nadzieje ze jeszcze wiele krajow do zwiedzania przede mną, ale jak na razie to jedyny kraj, do którego jeszcze chciałbym kiedyś wrócić.

Dziękuje wszystkim, a w szczególności moim kolegom z ZZ Hutnik za wsparcie moralne i finansowe mojej wyprawy, kolejny raz mam nadzieje nie zawiodłem Waszych oczekiwań pokazując co hutnik potrafi .